

Adam Skorb

KROPLÓFKA



VERMONT 2011

wydanie II

ISBN 978-83-61799-00-9

Spis treści

.....	3
<u>Rozdział I.....</u>	<u>4</u>
<u>Rozdział II</u>	<u>22</u>
<u>Rozdział III.....</u>	<u>41</u>
<u>Rozdział IV</u>	<u>102</u>
<u>Rozdział V</u>	<u>128</u>
<u>Rozdział VI.....</u>	<u>157</u>
<u>Rozdział VII.....</u>	<u>192</u>

Rozdział I

Ela zmrużyła oczy. Słońce, nie widziane od tak dawna, sprawiło ból. Sięgnęła po okulary, na szczęście przyciemnione. Teraz dopiero mogła bez przeszkód rozejrzeć się dookoła. Hm, przedtem wyglądało to jakby inaczej...

Właśnie! Gdzie podziła się góra? Gdzie wzgórze, pod którym, w zamaskowanej, wykutej w skale grocie ukryto dla niej samochód? Zakole rzeki też wydawało się być nie na swoim miejscu...

Zrozumiała. Ulewny deszcz, powódź, jedno z dwojga lub to i to. Podmyły górę, która osunęła się, spłaszczyła przykrywając jej terenową toyotę setkami, jeśli nie tysiącami ton ziemi. Pełna rozpacz graniczącej z rezygnacją patrzyła na zmianę w krajobrazie, jaka dokonała się w czasie jej... nieobecności. Upłynęło przecież wiele lat, a miejsce po górze porastał spory już las.

Mapa została w niedostępnym teraz aucie, ale Ela pamiętała, że do najbliższego miasteczka jest kilkadziesiąt, a do najbliższej drogi z twardą nawierzchnią kilkanaście mil. Przypomniała sobie słowa Roberta, ostatnie skierowane do niej słowa... Nigdy cię nie zapomnę! Nigdy cię nie zobaczę! Poczuła nagle łzawienie, skurcz krtani oraz szczękościsk. Nie czas jednak było płakać, nie zabrało więc to jej wielu minut. Zdecydowanym ruchem otarła łzy i zwalczyła słabość, dla której, rozumiała to, miejsce ani pora nie były odpowiednie!

Pociągnęła nosem, wysmarkała go dokładnie. Z kieszeni na udzie wyjęła czekoladę. Dopiero kiedy zjadła już część, pomyślała o czekającej ją być może długiej drodze. Bez samochodu, jak weźmie z sobą żywność i wodę? Piętnaście, może więcej, mil przez las! Na piechotę! W pełni zgadzała się z opinią, wyrażaną przez wielu, że nogi jej zbyt piękne są, by używać ich do czynności tak prozaicznej i przyziemnej właśnie, jak chodzenie! Skoro jednak mus... Zresztą, trening mięśni dobrze jej zrobi po tak długim okresie bezczynności. Im też.

Ela wróciła do bunkra. Poczekaj do rana. Jeśli wyruszy wcześniej, myślała, powinna pokonać te głupie kilkanaście mil zanim zapadnie zmrok.

Zjadła, wypila, połknęła parę pastylek. Zasypiając już przypomniła sobie... No tak! To ogólne, nie tylko fizyczne wycieńczenie... Odrzuciła koc. Już miała zerwać się z posłania, ale... Radiotelefon był w samochodzie...

Obudziła się wczesnym rankiem. Zaledwie dniało. Wrzuciła do torby karton z soki, kilkanaście tabliczek czekolady i parę paczek chipsów. Mimo że było tego niewiele, ważyło sporo.

Marsz nie był ani łatwy, ani lekki. Ani przyjemny. Dukt, którym przyjechali wtedy, pozarastał. Miejscami ślad po nim ginął niemal zupełnie. Wreszcie drogę przegrodził jej strumień i zdała sobie sprawę, że zabłądziła. Wiedziała jednak, że musi iść na południe. Potrafiła też rozpoznać gdzie owo południe jest. Zatem, mając przed sobą strugę, zdjęła buty, skarpetki, podwinęła nogawki. Woda była zimna i ścięła krew w żyłach, za to płytka. Za wodą las stał się wyższy, poszycie zaś zgęstniało, i coraz trudniej było Eli utrzymać kierunek oraz tempo. Drzewa, krzaki i wykroty zmuszały ją do kluczenia, nakładania drogi. Miała wątpliwości, czy choć trochę posuwa się do przodu. Pojęła, że piętnaście mil przez gęsty las to daleko, albo i jeszcze dalej... Przenocowała na rozłożystym konarze jakiegoś dużego drzewa, jak Robinson.

Z niespokojnego, nerwowego snu ocknęła się o wschodzie, przemarznięta do szpiku. Zjadła ostatnią tabliczkę czekolady i podjęła marsz. To ją rozgrzało. Noc spędziła w gęstym krzu i spała jak zabita. A następnego dnia, około południa, ze szczytu porośłego gonnymi sosnami wzgórza ujrzała dym! Ciemne, brudne kłęby daleko na południowym wschodzie, za horyzontem!

Ów widok dodał Eli otuchy i sił. Przedzierając się przez zarośla, nie bacząc na chaszcze, cieszyła się. Oto ujrzała widomy znak ludzi! Podekscytowanej tak bardzo nie przeszło przez myśl, że mógł to być spowodowany naturalną przyczyną pożar lasu. Z mnóstwem myśli pod czaszką, z radością w sercu, szła naprzód powoli lecz wytrwale, w tempie na jakie pozwalały osłabłe mięśnie. Po kilku godzinach, kiedy wdrapała się na wysokie drzewo, zobaczyła - wysiliwszy swe nie najbystrzejsze przecieży oczy - dziwną górę będącą źródłem dymu. Nie tak już bardzo daleko.

Szła. Po pewnym czasie las ustąpił miejsca odkrytej, trawiastej i rozległej przestrzeni, upstrzonej gdzieś tam zaroślami. Dziwna góra rosła i rosła, aż na koniec, gdy słońce już

chyliło się ku zachodowi, Ela rozpoznała w niej wysypisko tłących się śmieci. Gdyby wiatr wiał z innego kierunku, mogłaby stwierdzić to wcześniej, pomyślała. Zdziwiła się też tej formie utylizacji odpadów.

Zbliżywszy się jeszcze do hałdy ujrzała bar, szopę raczej, stojącą przy wąskiej, gruntowej drodze. Wkoło rosło kilka rachitycznych drzew.

Z bliska to, co wydawało się Eli szopą, okazało się nią w istocie. Odrapaną, bezbarwną, brzydką. Pomiedzy rudą a drogą stał pogięty i ordzewiały metalowy słup, u którego szczytu, na ostatniej śrubie trzymała się tablica, całkiem już nieczytelna...

Ela czuła głód! Była też piekielnie zmęczona i straszliwie śpiąca, ale przede wszystkim była głodna, wściekle głodna! Spragniona! Z wnętrza szopy dobiegał gwar, dolatywały zapachy, i Ela wiedziała już, że to kantyna dla pracujących przy wysypisku. Pomacała kieszeń, w której trzymała portfel, wciągnęła do płuc haust powietrza, pchnęła drzwi i weszła do środka. To, co ujrzała, dech w świeżo napełnionych płucach jej zaparło!

Pamiętała takie twarze. Widywała je niemal codziennie w czasach, gdy była naprawdę młoda. W parkach, na dworcach i przystankach, poprzez szyby podrzędnych lokali gastronomicznych funkcjonujących nie wiedzieć czemu w centrach miast. Kiedy przyjechała tutaj także widywała takie twarze. Ale tu nie musiała stykać się z nimi na każdym kroku. Nie z tyłoma naraz i nie z tak bliska. W pomieszczeniu, w którym się znalazła, było dobrze ponad pięćdziesięciu mężczyzn wyglądających swojsko, jak weterani spod budek z piwem i amatorzy autowidolu!

Spojrzenia wszystkich tych kreatur momentalnie spoczęły na Eli. Czuła się obmacywana i rozbierana ich wzrokiem. Gdyby nie zmęczenie, gdyby nie głód, kto wie, może uciekłaby natychmiast? Nie zrobiła tego, a nikt nie zaczepił jej słownie, nie dotknął nawet. Głód odezwał się ze zdwojoną siłą. Odwróciła oczy od wpatrujących się w nią beczelnie typów i wzrok jej spoczął na wysokim, łysawym i piegawatym rudzielcu tkwiącym za bufetem. Chociaż jego fartuch nie był już biały, to i tak korzystnie prezentował się na tle swoich klientów. Zacierając ręce bacznie przypatrywał się Eli.

- Czy... - zapytał - ... czy życzy sobie pani... .

Ela przełknęła ślinę której nie było i skinęła głową.

- Tak! Życzę! Jestem głodna! - powiedziała - Chcę jeść!

Piegowaty człowiek, zafrasowany, podrapał się w łysinę.

- No cóż - sapnął - liczba klientów jest tu raczej stała, proszę pani... Mogę zrobić parę hot-dogów, jeśli to pani odpowiada...

- Odpowiada! - odpowiedziała Ela - Myślę, że zjem pięć! Na początek!

Po sali przeszedł szmer. Rudy uniósł brew.

- Jestem bardzo głodna - powtórzyła Ela.

- Mam wszystkiego cztery - wyjaśnił mężczyzna zza lady - Jeśli będzie mało, usmażę potem dla pani parę jaj...

Ela zgodnie skinęła głową. Ten człowiek wydał się jej całkiem sympatyczny i miły!

- Co jest do picia?

Rudy wskazał tylko kciukiem na plakat. Jak zawsze coca-cola!

Łysiejący, piegowaty rudzielec żywo zakrzętnął się dla niezwykłego gościa. Bo Ela była gościem niezwykłym! Przygotowując hot-dogi piegowaty usiłował przypomnieć sobie, kiedyż to jego lokal odwiedził ktoś inny niż harujący przy śmieciach robole, policjanci czy strażnicy leśni. Usiłował nadaremno. A tu, proszę, kobieta! Taka laska do tego! Niezwykłe! Mimo że zmęczona i zmizerowana, widać, że młoda i piękna! Ubranie tajemniczej kobiety było wprawdzie podarte i ubrudzone, ale... Mówiła z lekkim cudzoziemskim akcentem, poprawnie i starannie, jak osoba wykształcona. Po jej dłoniach nie było widać, by zajmowały się pracą. Musiała zatem należeć do bogatych, lub być z nimi w dobrych stosunkach... Albo takie stosunki z nimi utrzymywać... To, że miała za sobą dłuższą wędrówkę przez góry i las było dla niego jasne, ale skąd się wzięła i kim jest?

Ela siedziała plecami do sali.

- Proszę - powiedział piegowaty kładąc przed klientką talerz na którym leżały cztery rozkrojone bułki z przypieczonymi kiełbaskami w środku, odrobiną keczupu.

Zapach jedzenia i jego bliskość o mało nie doprowadziły Eli do obłędu, a jej ślinianki oszalały.

- Zaraz podam colę! - dodał rudy.

-Tylko nie za bardzo schłodzoną! - zdążyła zadysponować przed pierwszym kęsem.

Piegowaty rudzielec uśmiechnął się głupkowato oraz niepewnie, po czym zaczerpnął chochlą z gara ciemnego płynu i nalał do poszczerbionego kubka.

Zmartwiałe spojrzenie Eli spotkało się z przepraszającym rudego.

- Tę będę prowadzę tylko dla nich... - wyjaśnił cicho - ... a i tak nic prawie nie zarabiam.

Ela szybko zjadła siermiężne hot-dogi. Bardzo zdziwiła się widząc rozlewana chochlą z kotła coca-colę. Oczywiście ciepłą! Hot-dogi też były paskudne, ale Eli głód posłużył za przyprawę, nie zauważyła więc tego. Kiedy już je zjadła, rudy podał sadzone jajka. Je także pochłonęła w mgnieniu oka.

- Jak dostanę się stąd do miasta? - spytała odsuwając talerz.

- Pani nie ma samochodu?

Rudy stwierdzał raczej niż pytał.

- Rozbiłam w górach...

Piegus skinął głową dając do zrozumienia, że przyjmuje słowa kobiety za dobrą monetę.

- Niedługo przyjedzie ciężarówka po tych... - wskazał oczyma po kogo - ... ale odradzam! Nawet jeśli kierowca zgodzi się zabrać panią do kabiny! - dodał żarliwym szeptem - Szczerze odradzam!

- A może pan wezwać taksówkę?

Śmiech zatrząsł ścianami szopy.

- Nie mam telefonu! I tak zresztą...

Nagle rudy przypomniał sobie, że niedaleko jest szpital dla czubków!

- Mam propozycję! - powiedział - Za jakąś godzinę, jak pojedą, sprzątnę trochę i też wrócę do miasteczka. Do domu. W miasteczku są telefony, jest policja, hotel... Niewielki, lecz karmią w nim lepiej niż ja tu tych... Tanio wezmę!

- Słucham?

- Mam wóz! Zawiozę panią! Tanio wezmę...

O, Boże, jęknęła w duszy Ela.

- ... ale za jedzenie policzę od razu...

Ela sięgnęła do kieszeni.

- ... duża cola, hot-dog razy cztery... jaja dwa, na bekonie...

Ela nie była pewna czy się przesłyszała, czy też bekon był tajny, ale nie myślała klócić się o te parę centów. Nie z nim.

- ... keczup, musztarda... To będzie razem sto sześćdziesiąt pięć siedemset!

Usłyszawszy kwotę Ela zbaraniała zupełnie i było to widać, bo rudy powtórzył wolno, starannie, i twardszym głosem niż zamierzał:

- Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy siedemset dolarów! Amerykańskich dolarów! Ja rozumiem, że to może wydać się sporo jak na taki standard, ale takie mam ceny!

Starał się być grzeczny. Wiedział, że standard ma paskudny, ale ceny niskie. Inaczej poszedłby z torbami.

- Ja.. Ja nie mam tyle... - bąknęła zmieszana i zdziwiona.

-A ile pani ma? Jeśli ma pani kartę, proszę pokazać! W miasteczku...

Przerwał biorąc w ręce portfel Eli. Wyjął pieniądze. Przeliczył. Teraz on zbaraniał.

- Co to? - krzyknął zdumiony.

- Dwa tysiące dolarów... - wyjaśniła zdławionym głosem.

Rudy zaczął dokładnie przyglądać się banknotom.

- Fałszywki? - zapytał ktoś z sali.

Ela, spięta, usłyszała odsuwane stołki i szuranie nóg.

- No niby nie... - głos rudego świadczył o wzburzeniu - ... ale te nominały...

- Co za nominały?

- Po sto dolarów! Po sto!

- Sto dolców w papierku? Pieprzysz!

- I prawdziwe?

- A popatrz na datę!

Rudy popatrzył i wściekł się!

- Co ty, kurwa, muzeum okradłaś? - rozdarł się przeraźliwie - Żreć chcesz za darmo?

Ela, sparaliżowana strachem, nie potrafiła wykonać ruchu ani wykrztusić słowa.

- Nie martw się! - zawołał mocno zbudowany, bogato tatuowany średniolatek z licznymi bliznami na twarzy - Zapłacę za nią, tylko daj klucz od zaplecza!

- Nie!!!

Ktoś zatkał jej usta twardą, brudną dłonią. Rudy opamiętał się, ale nikt już go nie słuchał. Mężczyźni rzucili się na kobietę z gatunku tych, o jakich mogli tylko fantazjować, tylko roić w swej wyobraźni, karmionej filmami, prasą dla panów i reklamami. Proletariat wziął Elę w swoje ręce. I zrobił z niej użytek.

Długa, lśniąca limuzyna sunęła cicho. W dole lśniły tysiące gwiazd i setki neonów, a może na odwrót. Karoseria auta, podobnie jak rzeka Hudson, odbijała niezliczone światła wielkomiejskiej nocy.

Auto zatrzymało się i wysiadło z niego dwóch wysokich, potężnie zbudowanych mężczyzn. Uważnie zlustrowali otoczenie.

- O.K. szefie! - rzucił jeden z nich do wnętrza limuzyny.

Wtedy wysiadł z niej trzeci mężczyzna. Nie był za wysoki, nie był zbyt atletycznie zbudowany. Nie miał więcej jak trzydzieści lat, a jeśli, to niewiele. Miał na sobie dżinsy, marynarkę i podkoszulek. Od razu skierował się ku solidnym drzwiom, nad którymi wisiał skromny szyldzik z napisem ROSE of LUXEMBURG. Uśmiechnął się pod nosem. Przypadek? Zbieg okoliczności? Zawsze go to bawiło...

Przed samym wejściem stał portier przybrany w strojny uniform, niby z napoleońskiego marszałka. Miał też kilku pomocników, nie tak strojnych wprawdzie, za to zbrojnych. Zdawał się też mieć niejaki obiekcje co do stroju człowieka z limuzyny, ale jeden z goryli szepnął coś, pokazał, i portier zapomniał o obiekcjach.

Wewnątrz człowiek z limuzyny natknął się na, a raczej wpadł w objęcia przeuroczej hostessy.

- Andrew Miller, nieprawdaż? - zapytała.

- Znasz mnie?

- Tak, znam! Pan mnie oczywiście nie pamięta... - odpowiedziała głosem w którym brzmiał wyrzut - Proszę za mną. Pańscy przyjaciele już czekają!

Idąc za dziewczyną z przyjemnością kontemplantował jej kształty. Na ulicy, na ulicy byłaby objawieniem. Tutaj jedynie normą. Co w niczym nie umniejszało jej powabu!

- No, Andy, jesteś! Trochę kazaleś nam czekać!

To oczywiście, że czekaliście na mnie, pomyślał Andy Miller. Nawet nie musiałem wam kazać! Fakt wynikający z obiektywnych przesłanek!

- Miło was widzieć, chłopcy! - przywitał się śledząc oczyma odchodzącą, rozkołysaną w biodrach hostesę.

Trzej mężczyźni kolejno witali się z przybyłym. David Lovitz, wiceprezes firmy w której Miller przepracował ostatni rok; Jeff Carlington, członek klanu kapitalistów z Bostonu oraz kongresmen Albert Prizzi.

- Co pijesz, Andy? - spytał polityk.

Andy uśmiechnął się.

- Co piję? Najlepszy będzie chyba manhattan?

Nowojorczycy zaśmiali się. Prawie natychmiast inne jakieś przeurocze dziewczę nadciągnęło z tacą, zaś napiwek jaki otrzymała sprawił, że jej uśmiech stał się jeszcze szerszy i całkiem szczery.

- Jutro odlatujesz? - spytał, by spytać, Prizzi.

- Nie szkoda ci? - dodał Carlington.

Andy Miller pokręcił głową.

- Co to za pytanie? - obruszył się Lovitz - Na pewno mu szkoda, ale się nie przyzna! No i przecież, przyleciał tylko na rok!

- No to co? - mrugnął wesoło Carlington - Wizy by nie przedłużył? Ma u siebie takie panienki? W tyłu kolorach?

- Nie bądź trywialny! - zaprotestował Lovitz, klepiąc pośladki roznegliżowanej blondynki - Wszystko sprowadziłbyś do jednego!

- Do jednego? - obruszył się Jeff - Wybierajcie, ile chcecie, chłopcy! Stawiam.

- U nas też można znaleźć coś w tym guście... - powiedział Andy.

- A może i w lepszym? - wtrącił Prizzi - Sądzę, że Andy'ego czeka kariera w jego ojczyźnie! Polityczna kariera!

- I ja tak sądzę... - zgodził się Carlington.

W tym momencie zajął się zapalaniem cygara. Andy szczęśliwie nie uległ nikotynizmowi, ale lubił zapach dobrych cygar. Jeff palił tylko takie.

- I liczysz pewnie na związane z tym korzyści? - dociekał polityk.

- Pewnie, że tak! - przyznał Carlington - Jestem kapitalistą! Nie muszę, nie mogę być bezinteresowny! To sprzeczne z moim

etosem! A tobie, szanowny panie kongresmenie, nie przyda się taka znajomość?

- Przestańcie - zganił kolegów Lovitz - Andy gotów pomyśleć jeszcze, że znajduje się na licytacji, nie wśród przyjaciół!

- Właśnie... - potwierdził Andy zerkając na ciemnoskórą piękność.

- Macie u siebie problem rasowy? - spytał Jeff.

- Jeff! - zgorszył się Prizzi.

- Jeff! - powtórzył znudzonym tonem Lovitz.

- Nie, nie mamy... - przyznał lekko ubawiony Andy.

Spośród ludzi których tutaj poznał, z tymi trzema zżył się najbardziej. Zżył? Może za duże słowo. W jego kraju ostrożność w kontaktach z obcymi wpajano od najmłodszych lat. Jego sytuacja była wprawdzie nieco inna, ale co trzeba wpojone miał. Potrafił być miły, uprzejmy, nawet pozorować serdeczność, ale zawsze umiał zachować chłodny obiektywizm kalkulanta.

Albert Prizzi. Polityk, demokrat. Naiwny idealista, ale jest młody, więc może mu przejdzie. Przejmując się, kieruje się emocjami, ma dobre serce. Do kongresu dostał się głosami biednego elektoratu z New Jersey, gdzie jego ojciec działa charytatywnie. Jeśli zostanie w polityce i dojrzeje, znajomość może przydać się nam obu.

Jefferson T. Carlington. Błękitnokrwisty paniczyk, babiarz i hulaka, ale ponoć z głową do interesów. Politykę ma gdzieś, oczywiście nie wtedy, gdy zahacza o biznes jego rodziny. Z racji pochodzenia i powiązań, tradycyjny republikanin. Kiedyś powiedział, że gdy będzie już stary, i jeśli będzie mu się chciało, kupi sobie fotel senatora. A może i oba! Przyda się.

Jedynie Davida Lovitza nie sposób zdefiniować od razu. Grzeczny, układny, po prostu porządny gość. W takim mieszczańskim pojęciu. Jako przełożony niezwykle opanowany i kompetentny, cieszący się autorytetem. W wolnym czasie gra na skrzypcach, podobno bardzo dobrze. Sprawia wrażenie, jakby zawsze czegoś nie dopowiadał. Zakochany bez pamięci w pracy, muzyce i swoim mieście. Taki dziwny, zadowolony z życia gość.

Po mniej więcej trzech godzinach Andy Miller, nieco pijany, znalazł się we wnętrzu swej limuzyny. Z tyłu nie było goryla. Ale ktoś był. Zobaczył nogi.

Nogi te były długie, smukłe, w pończoszkach i na obcasach. Potem ujrzał oczy. Oczy migdałowe. Błyszczące kocie oczy.

- A skąd się tu wzięłaś? – spytał.

- Pański przyjaciel mnie tu przysłał. Już zapłacone.

Miała nieco ochrypy, niski głos.

- A... a jeśli mi się nie spodobaś? - zapytał jeszcze Andy.

W ciemności zabrzmiał cichy, wyrozumiały acz kpiący śmiech.

- Nie sądzę, kotuś! Przyglądałeś się mi w taki sposób... Znam się na tym...

Popatrzył uważnie w jej ciemną twarz. Już wiedział, z kim ma do czynienia. Jeff ma łeb na karku i spostrzegawcze oko!

Stwierdził, że niełatwo jest klepnąć w pośladek siedzącą kobietę. Na szczęście jej uda były wyeksponowane, klepnął ją więc w jedno z nich. Nigdy potem nie mógł przypomnieć sobie które to było, ale miał nadzieję, że lewe.

Niewykluczone, że miał rację.

Obudził się przed południem. Dziewczyny już nie było. Jak stwierdził, niczego w mieszkaniu nie brakowało, prócz ręcznika. Zanim zadzwonił telefon, zdążył jeszcze napić się soku.

- Andy! Andy, kochanie? Jesteś? To ty?

- Ja... - zachrypiał.

- Który to już raz dzwonię do ciebie! Gdzie byłeś? Dlaczego nie odbierałeś? Nie byłeś sam? Jak mogłeś?! Podły jesteś, wiesz?

Andy położył słuchawkę na biurku nie przerywając połączenia, mimo że nawet miał na to ochotę. Z cierpienniczą miną wsparł czoło na dłoni i obiecał sobie, że nigdy więcej... Po chwili, kiedy bełkot dochodzący ze słuchawki zaniepokoił się, ponownie przytknął ją do ucha.

- Słucham! - powiedział.

Osoba po drugiej stronie ucieszyła się.

- To jak? Zaprosisz mnie na lunch?

Osobą po drugiej stronie była zielonooka blondynka pracująca w firmie ubezpieczeniowej, w tym samym biurówcu, w którym Andy przepracował ostatni rok. Nie była nikim ważnym. Miała świetną figurę. Jej szefowie dostrzegli to i zatrudnili ją na stanowisku, na którym to wystarczało. Była miła. Poznał ją na

przyjęciu u jednego ze znajomych. Od razu wpadła mu w oko. Powiadano, że lubiła wziąć parę dolarów od faceta, ale tego Andy nie stwierdził. Na imię miała Sue.

- Dobrze, serduszek... - powiedział Miller - ... zaproszę. Tam gdzie zwykle?

- Ale będziesz na pewno?

Gdyby miała zapłacić za siebie tam gdzie zwykle, choćby za kawę, musiałyby zostawić pół swojej tygodniówki. Może i całą?

- Będę! - uspokoił ją Andy.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale uniemożliwił to na dobre odkładając słuchawkę. Ogolił się, wziął prysznic, uczesał mokre włosy. Przez chwilę przyglądał się odbiciu swej twarzy w lustrze stwierdzając, że nie jest źle.

Zrobił silnej herbaty, osłodził bardzo mocno, wypił. Nie pomogło od razu, ale przynajmniej żołądek zaczął funkcjonować.

Ostatnie godziny przed odlotem mógłby spędzić w mieszkaniu, leżąc, kurując się i gapiąc w ekran. Sue czekałaby na darmo, ale cóż z tego? Baby są głupie... Że straciłaby tygodniówkę? Jej problem! Uznał jednak, że nie zaszkodzi trochę ruchu. Przeklął też w duchu Kongres, który całkiem niedawno wprowadził, niektórzy mówili "przywrócił", przerwę na lunch. Taki typowy przykład faryzeuszkowskiej troski kapitalistów o ludzi pracy! W istocie zaś chwyt mający nabić kabzy restauratorom i właścicielom barów szybkiej obsługi!

Sue, ubrana w skąpą sukienkę z gatunku "użyj i zapomnij", już czekała.

- Nareszcie!

Cmoknął ją w policzek. Przeczynał, co nastąpi, i trochę było mu jej szkoda.

Nawet pożałował, że przyszedł, ale musiał przyznać, że czekająca go rozmowa miała być jedynym problemem stworzonym przez Sue w czasie ich znajomości.

- Co robiłeś? – spytała - Kiedy dzwoniłam?

- Spałem. Trochę wczoraj popiłem - wyjaśnił.

- Czekałam...

Wiedział o tym.

- Widzisz, moja droga... - powiedział, a w tym samym momencie oczy Sue zasłzy mgiełką - ... żegnałem się z kolegami...

- Rozumiem, ale czekałam na ciebie! Upiekłam placek! Żegnałeś się? To kiedy wylatujesz?

- Dziś wieczorem...

- Jak to? Mówiłeś, że... To co będzie z nami?

Wzruszył ramionami. Popatrzyła na niego tak, jakby ujrzała go po raz pierwszy. Lub raczej przejrzała.

- O, ja głupia! - zaszlochała - A ja, durna, myślałam, że mnie kochasz! Myślałam, że to wszystko co mówiłeś, co obiecywałeś...

Nie dokończyła, przerwała wymówki. Pomyślał, że rozbeczy się. Ale nie!

Otarła łzy, pociągnęła nosem i przybrała poważny, rzeczowy wyraz twarzy.

- Miałam nadzieję, że ożenisz się ze mną. Ale potraktowałeś mnie jak darmową materac!

No a jak, pomyślał?

- Mimo to proponuję ci małżeństwo! Nie patrz na mnie takim baranym wzrokiem! Nie jestem w ciąży ani nie mam zamiaru zabić się! Ale byłam twoją darmową dziwką na każde zawołanie, i coś mi się za to należy!

No tak, pomyślał Andy, zawsze w końcu chodzi o ...

- Nie myśl, że chodzi mi o pieniądze! - kontynuowała Sue - Ożeń się ze mną! Chcę wyjechać z tego kraju! Potem możemy się rozwieść! Jak chcesz, dam ci wszystkie moje oszczędności! Andy?

Jej słowa wzbudziły w nim pewien rodzaj uznania. Oczywiście jej pieniądze były czymś, co mogło go jedynie rozbieszyć, ale jej determinacja i wyrachowanie zasługiwały na szacunek. Tylko że Andy nie mógł się z nią ożenić.

Dlatego powiedział:

- Nie chcę twoich pieniędzy, Sue. Nie chodzi o to, że mi się nie podobasz. Jesteś bardzo ładna! I nie myśl, że nie chciałbym ci pomóc! Wierzę, że wyjechałabyś stąd, ale to nie takie proste! Małżeństwo to jedno, a zezwolenia? Na wyjazd stąd, na przyjazd tam, na osiedlenie... Od waszego i naszego rządu... Nawet jako moja żona musiałabyś czekać tu, może całe lata nawet...

- A czy ty nie masz jakichś... ?

- Nie, Sue! - westchnął - Nie mam! Jako zdolnego młodego człowieka wysłano mnie na staż, ale nie mam żadnych pleców! Wiem, że wam może wydawać się inaczej, ale u siebie nie jestem

nikim ważnym. Naprawdę! Ja przyznaję, że jest w tym nieco mojej winy... Wy tutaj sądźcie, że każdy kto przyjedzie od nas, jest grubą rybą. Mi to, przyznaję, odpowiadało. Pochlebiało nawet. Przyznaj jednak sama, Sue! Gdybyś i ty tak nie myślała, nawet byś na mnie nie spojrzała! Czyż nie? Nie mam racji?

Patrzyła na niego uważnie, badawczo... Wytrzymał jej spojrzenie. Wstała.

- Ty gnojku!

Spoglądając za odchodzącą pomyślał, że tych kilka kłamstewek którymi ją uraczył, te parę wymówek jakimi uraczyła go ona, było niską ceną za korzystanie z jej ciała. Baby są głupie...

Wieczorem Andy Miller wsiadł do samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT i odleciał do ojczyzny.

Jacek Kudelko wyszedł spod prysznica i wytarł się grubym, czerwonym ręcznikiem. Po godzinie na siłowni czuł w całym ciele rozpierające poczucie krzepy. Ubrał świeżą bieliznę, spodnie, koszulkę. Wzuł buty. Przepocony dres wrzucił do torby, pożegnał się i opuścił budynek DOSIR-u. Odległość jaką miał do pokonania wynosiła około trzech kilometrów, a że pogoda była piękna, postanowił przejść ją spacerkiem. To lepsze niż tłoczny autobus, zwłaszcza że było mu pilno. Obiecał Katarzynie wypad do którejś ze staromiejskich kawiarenek, a że poprzedniego dnia otrzymał wreszcie honorarium za artykuł w ŻOŁNIERZU POLSKIM, mógł zaszaleć. Pieniądze, mimo wszystko, bywają potrzebne, a będąc nauczycielem historii wiele nie zarabiał.

Mijając schody wiodące do osiedlowego megasamu zwrócił uwagę na niewielką kolejkę wystającą ze sklepu.

- Co dają? - zapytał.

- Papier toaletowy! Angielski! Bez kartek!

Zastanowił się. Angielski papier toaletowy uchodził za bardzo dobry. Co prawda, nie był w stanie zrozumieć, dlaczego są osoby gotowe stać w kolejkach, by go zdobyć. Przecież ogólnie dostępny, bezpłatnie rozdzielany papier produkcji niemieckiej i duńskiej był gładki, miękki, ładnie pachniał i spełniał swe zadanie. Jacek Kudelko przypuszczał, że požądanie angielskiego akurat

papieru toaletowego, głównie zresztą przez kobiety, było rezultatem po prostu przekory i typowo kobiecego braku logiki i konsekwencji. Oraz masochizmu, skoro zaspokojenie owego pożądanego wymagało stania w kolejkach.

Tyle teoria. Praktyka jednak kazała pamiętać, że Katarzyna także wolała papier angielski, o włoskim nie wspominając nawet, niż ten ogólnie dostępny.

Gdyby tak dowiedziała się przypadkiem, że przechodził i nie stanął? Co by to było? Jezu!

W tym momencie zganił się w duchu za użycie nadaremno... co wedle pamiętanych nauk babcinych było grzechem, a poza tym, co przypominano często, niegodne członka awangardowej awangardy narodu.

Grzech nie grzech, klerykalne odchylenie czy co tam jeszcze. Nieważne!

Ważne to, co powie Katarzyna jeśli dowie się, że widział kolejkę i nie stanął?

Będzie awantura i ciche dni. Stanął więc i kupił cztery rolki, bo tyle tylko sprzedawano jednej osobie.

Kasia bardzo ucieszyła się z prezentu. Tak bardzo, że zamiast pilnować odgrzewanego obiadu wlaźła pod prysznic jak stała, czyli w spodenkach i koszulce. Jacek, spocony po pobycie w dusznym megasamie, przyjął to z zadowoleniem, zwłaszcza że nakłonił ją do pozbycia się szortów. Szczęśliwie przerwy w dostawach wody były już rzadkością. Dopiero swąd przypalanych na patelni kopytek przywrócił ich rzeczywistości.

- Mój obiad... - zamruczał Jacek, nagle niewesoły.

- Nie przejmuj się, żuczku... - cmoknęła go w policzek - Chcesz, zrobię ci coś innego?

Machnął ręką.

- Nie trzeba. Zjem coś na mieście. Razem zjemy!

- A co? Wyplatę wcześniej dostałeś?

- Nie, moja droga! Od wczoraj magister Kudelko przestał żyć tylko z nauczycielskiej pensji!

Licząc każdą rolkę z osobna i to, co zaszło pod prysznicem, zaimponował jej tego dnia po raz siódmy.

- Wydrukowali ci? - spytała.

- Wydrukują. Ale pieniądze dostałem już wczoraj. Zabalujemy, kochanie!

- Świetnie! - zapiszczała.

Nie chodziło jej o owo zabalowanie. Cieszyła się, że doceniono w końcu publicystyczne ambicje jej mężczyzny. Nie dlatego, by miała traktować je poważnie. Pamiętała jednak słowa babci, która podchmielewszy sobie z okazji jakiejś rodzinnej uroczystości szeptała do uszu swych wnuczek, że zadowolony mężczyzna zadowala. Znaczenie tych słów zrozumiała po latach.

Do śródmieścia postanowili pojechać taryfą. Na postoju stało kilkadziesiąt osób, ale kiedy na horyzoncie pojawiła się taksówka Jacek pobiegł jej na spotkanie. Biegąc wyjął z portfela banknot i zamachał nim. Samochód zatrzymał się.

- Kacha! - zawołał.

Niepotrzebnie. Już biegła! A w ślad za nią leciały gniewne okrzyki.

- Co to?

- Cham jaki!

- Takich pałkami powinni porządku uczyć!

- Milicja gdzie jest?

Katarzyna i Jacek, uśmiechając się z wyższością, zerkali na pozostający w tyle postój, na siebie... Piękni, młodzi, zakochani. Inteligentni i zaradni, czuli się wybrańcami losu.

- Dokont to jadziem, panie szanowny obywatelu? - zapytał kierowca okręcając głowę - Bo s takom damom na pewno nie na Legie, co?

- W okolicy starówki...

- Sie jadzie... - skinął kierowca - ... a do papierka coś pan nim machał dodasz pan drugiego...

Jacek kiwnął głową. Wprawdzie dwa to było za dużo, a z Jacka był kawał chłopca i byle złotowy się nie lękał, ale był z Kasią. Nie chciał narażać jej na pyskówkę z niedobitkiem drobnomieszczństwa, z pewnością prostakiem.

Miasto szykowało się do święta. W gorącym, nieruchomym powietrzu zwisały flagi ruchu robotniczego i polskie. Rozklejano afisze i plakaty. Sprzątano chodniki i jezdnie, i podlewano miejską zieleń.

- Już prawie lato... - wyrwało się Katarzynie.

- Tak... - przyznał Jacek - ... wcześniej przyszło tego roku...

Bo też pogoda była upalna! Warszawianki zadawały szyku na całego i Jacek musiał uważać, bo Kasia nie lubiła gdy się rozglądał i oglądał, a było za czym. Nic dziwnego, pomyślał. W takiej ilości zawsze znajdzie się jakaś jakość!

-Dobrze, że jestem tu z tobą ... – zakpiła -... gdyby nie ja, kark by cię rozbolał!

Rzucił jej złe spojrzenie i demonstracyjnie obejrzał się za rewelacyjną nastoletnią brunetką, stającą dumnie acz niezbyt pewnie na niebotycznych obcasach w towarzystwie zdecydowanie brzydszej koleżanki patrzącej z pogardą na między innymi Jacka. Pokazał brzyduli język i w tym samym momencie potknął się.

- Co robisz? – syknęła.

- Popatrzeć nie wolno? Zazdrosna?

Pokręciła głową.

- O ciebie? Skąd! Ale chodzą do mojej szkoły. Nawet miałam z nimi niedawno zastępstwo. Ta brzydka to córka...

Dokończyła na ucho.

- I chodzi do zwykłej szkoły? - zdziwił się.

- Bo to córka jego i jego sekretarki. Ale i tak wszyscy wiedzą, ona też. I bywa nieznośna... O, widzę wolne miejsca! Wejdzmy!

Coca-cola była zimna, przyjemna. Ciastka świeże. Zjedli po dużej melbie z owocami, a wtedy Jacek przypomniał sobie, że nie jadł obiadu i pożarł trzy kromki z barszczem. Potem zmienili lokal. Kawa, tańce, nawet koniak, mimo że w przeddzień święta. Tuż po północy Kasia przypomniała, że rano czekają ich obowiązki.

- Ale to dopiero rano - powiedziała w drodze na postój - i zostało jeszcze parę godzin. Zanocujesz u mnie...

Pewnie! Zdąży rankiem do siebie i przebierze się na pochód. Czytała w jego myślach.

- Trzeba było przynieść koszulę i krawat - powiedziała nagannym głosem.

Tym razem takich cwanych było więcej. Musieli więc czekać na taksówkę.

Trwało to dobre czterdzieści minut. Przejeżdżając skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jaruzelskiego widzieli trwające jeszcze prace przy Trybunie Honorowej. Wielkie płachty

transparentów zasłaniały Domy Towarowe Centrum i niemalą część Pałacu Kultury. Jacek patrzył na czerwień płonąca wśród nocy i serce mu drgnęło.

- Mamy już maj - powiedział i poczuł, że coś napiera na jego zwieracz.

W nieco ponad kwadrans zajechali pod blok Katarzyny. Kiedy weszli do jej mieszkanka, od razu wpadł do toalety.

- Co cię tak przypiliło? - zapytała przez drzwi.

- A bo ja wiem? Może to te krokiety, cholera? Kto wie, co za świństwo do nich ładują?

Zaśmiała się. Cóż, kobiety bywają okrutne dla mężczyzn, którzy cierpią!

- Długo posiedzisz? Podać ci gazetę?

- Daj!

Przez szparę w uchylonych drzwiach, które natychmiast potem zatrzasnęła, podała mu prasę. Była to KOBIEȒA I ŹYCIE. Wolałby coś innego, ale tu, u Kasi, mogłaby to być jedynie PRZYJACIÓŁKA.

Przeczytał parę stron. Ciekawa jak zwykle satyra w krótkich majteczkach nie starczyła na długo. No i artykuł z okazji pierwszomajowego święta. Jacka zastanowiło, że tekst ten mógłby równie dobrze zostać zamieszczony w ŁOWCY POLSKIM, ŹOŁNIERZU WOLNOŚCI czy w jakimkolwiek innym piśmie. Kudelko zastanowił się, jak on sam napisałby pierwszomajowy artykuł dla kobiecego czasopisma?

Przypomniałby postaci sławnych rewolucjonistek? A może właśnie mało-, lub zgoła nieznanych? Może napisałby o przodownikach na traktorach, a może o łódzkich prządkach, które dały przed laty bohaterski odpór warchołom z tzw. solidarności?

- Długo jeszcze?

Wyszedł. A kiedy zmęczeni leżeli tuląc się do siebie, powiedział:

-A wiesz, kochanie, że ten angielski papier rzeczywiście jest lepszy? Może to tylko wrażenie, bo jakoś tego naszego zwykłego jakby się pogorszyła ostatnio, ale teraz, u ciebie, stwierdziłem, że angielski jest super!

-Pewnie! - prychnęła – Zawsze to wiedziałam! Miło jednak, że przyznałeś mi rację! I miło, że go kupiłeś, choć wyśmiewałeś się ze mnie, że tracę czas w kolejkach stojąc za papierem!

- Mięszczy papier toaletowy to jeszcze nie powód, żeby wystawać w kolejkach! Tym bardziej, że niewiele jednak gorszy można dostać bez problemu! - zaoponował.

- A po co kaleczyć swe ciało w tak delikatnym miejscu? - spytała.

Nie odpowiedział. Katarzyna popatrzyła spod przymkniętych powiek na jego męski profil i pomyślała, że oto przykład typowo samczej przekory, lenistwa i braku konsekwencji. Oraz masochizmu. Zasypiając już pomyślała, że przecież mimo tego stanął dla niej w kolejce! To dało jej poczucie władzy nad nim! Hm, szwagier jest milicjantem, więc może postarać się o kajdanki ?